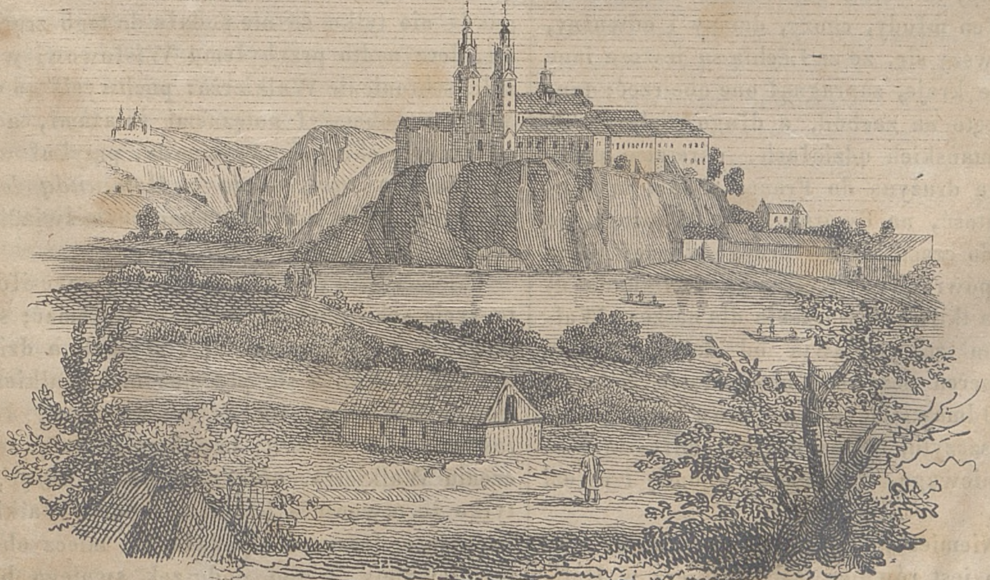
Nr. 44. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 30. Października 1847.*

Tyniec. — Pamiętniki Jana Choisnin (dokończenie). — Panna Postępowa (ciąg dalszy). — Zegarmistrzowstwo Polskie w Genewie.



Tyniec.

Tyniec.

Opactwo Benedyktynów na Tyńcu założoném zostało przez Bolesława Chrobrego i żonę jego Judytę; to późniéj obsadzoném zostało przez Benedyktynów, których Kazimierz I. z Kluniaku sprowadził. Ci zakonnicy, tak hojnie od Chrobrego i jego następców uposażeni zostali, iż Opat Tyniecki za czasów Starowolskiego zwanym był *quinque civitatum et centum villarum dominus.*

Piszący o Tyńcu już wielokrotnie wyszczególnili zasługi tego zgromadzenia dla nauk, budownictwa, ogrodów i rolnictwa w Polsce. Wyliczyli jego prace apostolskie i mozolne przepisywania starożytnych kronik, nareszcie wskazali, o ile to miejsce stało się słynném w wypadkach historycznych naszego kraju. I ja o tém wszystkiém w swém miejscu przemówić nie zaniedbam, nie zapominając nawet napomknąć, że ten starożytny pomnik, który kolebkę monarchii Polskiéj zapamiętał, w dniu 3cim Maja 1831 roku od złowieszczego pioruna zdruzgotanym został (rycina). Tymczasem zaś wystąpię z powieścią sięgającą epoki przedchrześciańskiéj, uzacnionym starożytnym gminu śpiewem o *Walkierżu w dałym, Grabie z Tyńcu*, jak go Bielski nazywa, a o którym pierwszą piśmienną wiadomość winniśmy Boguchwałowi, czyli raczéj Baszce, kronikarzowi z XIII wieku.

Na szczycie skały Tynieckiéj, w niedostępnym zamku, mieszkał Toporczyk, Walkierżem zwany. Ten młody, choży, dumny i odważny, dowiedziawszy się, że za Lechią są jeszcze inne ludy i inne kraje, zapragnął one obejrzeć; rzucił się przeto na zachód, a długo pielgrzymując w germańskich udziałach, nareszcie przybył ze swą drużyną do Francyi i tam uzyskawszy wziętość, na dworze króla Francuskiego zostawał do czasu, aż go przygody znowuż do ojczyzny powróciły. Królewna Heligunda uczuła była tkliwe wzruszenie dla naszego Walkierża; on zaś wyjawia od dawna tlejące w swém sercu uczucia i natarczywie żąda jéj ręki. — Odmawiają cudzoziemcowi tak pożądanego zaszczytu, któren naglony miłością i obrażony zniewagą, wykrada Heligundę i uwozi z Francyi.

Lecz Niemiec jakiś, *co téj pannie też rad służył*, to jest również jak Walkierż w Heligundzie zakochany, rzucił się za nim, dognał; i gdy już kochankę wydzierać poczyna, zdruzgotany rycerską maczugą, pada nieżywy, a Walkierż szczęśliwie z ukochaną zdobyczą przybywa do swego niedostępnego Tyńca.

Zamek ten obwarowany ostrokolnemi zasiekami i stósami skał poroztrącanych przez przyrodzenie, lubo zewnątrz ponury, wewnątrz przecież miał okazałe teremy, pod któremi mieściły się w wydrążeniach skały, mieszkania dla rycerskiéj drużyny i ciemne więzienia: w nich jęczał od niejakiego czasu pojmany Wisław, dziedzic na Wiślicy.

Na nieszczęście Walkierża, Wisław był zalotnym, a Heligunda czuła i niestała, gdyż ta, *jak się raz dała wziąść jednemu, dała się wziąść potém i drugiemu;* to jest: Heligunda użaliwszy się nad niedolą Wisława, niepomnąc na obowiązki, nie tylko że w nieprzytomności męża, Wisława z więzów uwolniła, lecz nadto porzuca Tyniec i wraz z Wisławem zamyka się w obronnéj Wiślicy.

Przybywa Walkierż do domu, a nie znalazłszy jeńca i swéj żony, pędzi do Wiślicy, wdziera się przez blanki do zamku, i rzuca się w objęcia Heligundy. — Ta nie tylko że go z czułością przyjmuje, lecz błaga nawet o zemstę nad zuchwałością Wisława, w tym celu nawet radzi, aby Walkierż skrył się do przyległéj komory, obiecując: *że gdy będzie czas potemu, da mu znać, aby mógł tém łatwiéj zdrajcę swego pożyć.*

Uwierzył nieborak, lecz wiarołomna Heligunda nie tylko że nie podała do tego zręczności, lecz nadto przybyłemu Wisławowi wskazała schronienie Walkierża: pochwycił go więc Wisław, obciężył potężnemi żelazami, a dla zaostrzenia okrutnéj swéj zemsty, przykuł w rogu komnaty *tam, gdzie z Heligundą legał*, aby tém samém uczynić go naocznym świadkiem własnéj zniewagi.

Nieszczęśliwy Walkierż na próżno usiłował to życie sobie odebrać, to kraty rozłamać; skrępowany, wszystko widział i słyszał, a działać nie mógł; użaliła się przecież nad Walkierżem siostra Wisława, *na dziwy szpetna, która jeszcze była panną;* ta polegając na przyrzeczeniu Walkierża, *obiecującego ją pojąć*, nie tylko że otworzyła kłótki i zapory Walkierża krępujące, lecz nadto podała mu miecz obosieczny, wyjęty z pod poduszek swojego brata. Wtém kiedy się Wisław z Heligundą *ocucili*,

a przez poszepty miłosne poczęli na nowo drażnić nieszczęśliwego więźnia, rzekł do nich Walkierż: *Cobyście też rzekli, kiedybym te pęta i kunę złamawszy, was pozabijał?* Na to zagadnienie struchlała Heligunda... a Wisław chcąc ją uspokoić, gdy na próżno szuka swego ogromnego miecza, Walkierż chwili nie tracąc, rzuca się na nich, i jednym zamachem oboje przeszywa mieczem. Piszę nasz starożytny dziejopis, że jeszcze za jego czasów, to jest w XIII wieku, na zamku Wiślickim, widziano grób niewiernéj Heligundy. (Bielski str. 86.)

Pamiętnik Jana Choisnin.

(Dokończenie.)

Stanął w Gdańsku 5. Sierpnia 1572, gdzie go wieczorem urzędnicy miasta odwiedzili, a na wieczerzą przysłali dwanaście naczyń śrebrnych z winem, w dwunastu gatunkach. Nazajutrz wysłali jednego z pośród siebie, był to obywatel Hiszpański, osiadły w témże mieście, i po Francusku dobrze mówiący; miał on być w naszém towarzystwie i pokazać nam wszystko w mieście, co tylko godne było widzenia. Jakem słyszał z uwag Pana Balagny, miasto jest wielkie i osiadłe, że kupcy bardzo wiele tu zyskują. Jest tu skład wszystkiego zboża z Polski, skąd cały Niderland się żywi, częstokroć Portugalia, a czasem część Francyi. Dostawiane tu bywają: miód, wosk, potaż, futra; są to płody, które Polska obficiéj wydaje, aniżeli inne kraje. Tu się składa mnóstwo towarów z Moskwy, Niemiec, Francyi, Hiszpanii; miasto pięknie zabudowane i ludne. Wystawiony tu jest bastyon, mogący służyć za obronny zamek. Ma to miasto port jeden z najpiękniejszych w świecie. Wisła bowiem szeroka, w całym swoim biegu ścieśnia się o milę od morza, i czyni port Gdańska.

Urzędnicy zaprosili Pana Balagny do mieszkania Konstantyna Ferbera, a nigdzie nie widział, jak powiada, tyle razem naczyń śrebrnych, ile w domu tego obywatela. Między innémi było sześć kubków bursztynowych dyamentami, rubinami i perłami wysadzonych; darowano Panu B. jeden, lecz nie chciał przyjąć. — Nazajutrz przybył urzędnik miasta z oświadczeniem dostarczenia wszelkich wygód, pomocy, ratunku, nawet pieniędzy, jeżeli potrzebuje; wszystko to czyniono ze szacunku i czci ku Królowi. Życzono Panu Balagny, ażeby mieszkał w zamku przy ujściu Wisły, nim zostanie statek wygotowany, a to dla uniknienia zarazy bardzo już gwałtownéj. Balagny jednakże ciągle tylko o wyjeździe myślał, i doczekać się nie mógł statka; radzono mu więc kupić jaki inny wyporządzony i zbrojny, na co pieniędzy dodać chcieli referendarze, agenci, którzy mieli zlecenie dostarczyć mu wszystkiego, co potrzebował. Zważając jednak, iż takie kupno za wieleby kosztowało Króla, wsiadł na statek Francuski, zwany: *Ange de Fecamp.* — Lecz czyliż to tylko chciałem opisywać podróż Pana Balagny? jakiżby to miało związek z negocyacyą tak szczęśliwie potém ukończoną, ale ja pisałem to przecież umyślnie, żeby czytający poznali, jakto ślachta Polska przewyższa wszelkie inne grzecznością i ludzkością; jakto cudzoziemcy w Polsce lepiéj przyjmowani bywają i czczeni, jak w innych państwach chrześciańskich; jakto wiele jest miast pięknych i bogatych; że w jedném Gdańsku więcéj dostatków, aniżeli gdzie indziéj. . . . .

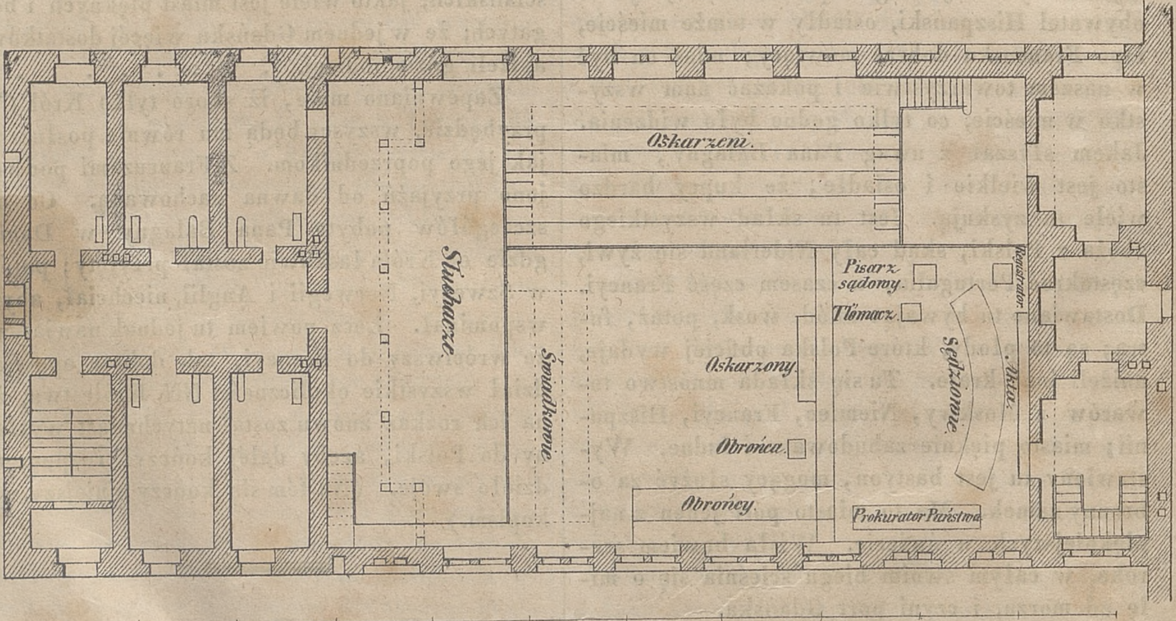
Zapewniano mnie, iż skoro tylko Król (*) przybędzie, wszyscy będą mu równie posłuszni, jak jego poprzednikom. Z Francuzami podwojono przyjaźń od dawna zachowaną. Co do szczegółów pobytu Pana Balagny w Danii, gdzie od Króla łaskawie został przyjęty; potém w Szwecyi, Norwegii i Anglii, niechciał, abym wspominał. Lecz powiem tu jednak nawiasem, że wróciwszy do Francyi, tak dobrze opowiedział wszystkie okoliczności NN. Królestwu, że na ich rozkaz znowu został natychmiast wysłany do Polski, ażeby daléj kończył rozpoczęte dzieło swoje. (Na tém się kończy niniejszy rękopism.)

Panna Postępowa.

(Ciąg dalszy.)

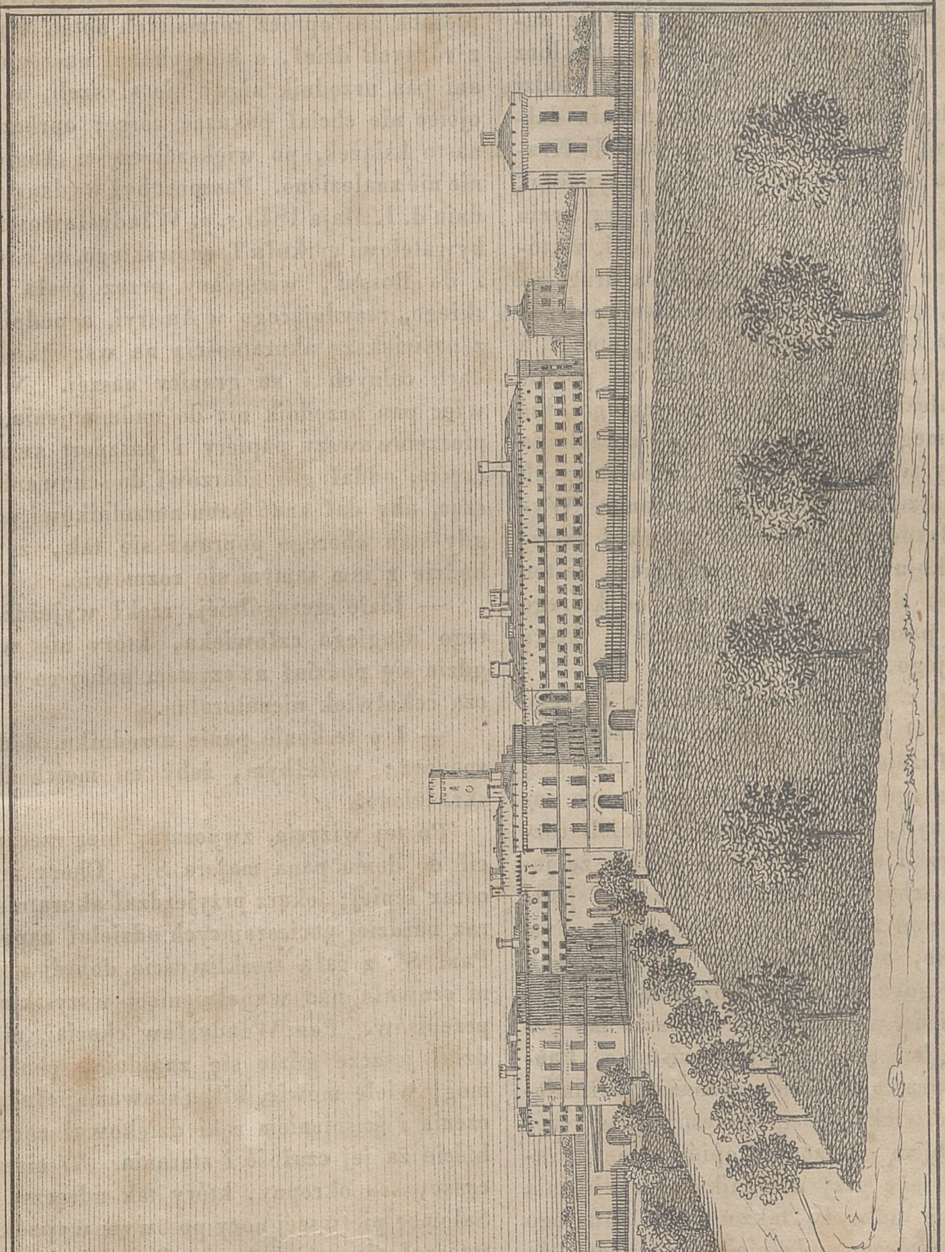
Na drugi dzień nowy wypadek powiększył jeszcze zamieszanie tego domu. Zaledwie major oczy otworzył, gdy mu dano znać, że owe cudne rumaki, te karosze, które wczoraj tak admirował, za które byłby chętnie całą swą stajnię oddał, takiéj były rasy, tak piękne i do-

(*) Henryk Walezyusz.



Zarys sali sessjonalnéj w więzieniu politycznêm w Berlinie.

rodne, w nocy nie wiedzieć gdzie się podziały. Pobiegł major pędem do stajni, i obaczył tylko przy żłobie kawałki powrozów od uzdeczek gładko oderznięte. Szarpał uprzejmy gospodarz włosy na głowie, tak mu było żal koni, i tak mu było przykro, że w jego domu, gość niespodziewany, gość nieszczęśliwy, który leżał bez przytomności, który utracił swoich ludzi niepojętym wypadkiem, którego powóz zdruzgotał się, jeszcze i tak dotkliwą stratę poniósł. Stajenni płakali, zaklinali się, że żaden z nich do téj kradzieży nie wpływał, że nic nie słyszeli, tylko nad ranem straszne wycie psów na dworze i we wsi. Zaczęto szu-



Więzienie polityczne w Berlinie.

kać śladów, i znaleziono znaki kopyt końskich prowadzące do bramy, która jak zwykle dawniéj po wsiach naszych, nie była na klucz zamknięta. Rozesłał natychmiast major ludzi po wioskach okolicznych, dla wyszukania dalszych śladów, a zastępca wójta posłał do Krasnego stawu z uwiadomieniem o przypadku, który się w jego domu zdarzył, o przybyciu nieznajomego, o zaginieniu dwóch ludzi, z których jeden na polu gdzieś przepadł, a drugi na grobli jego, gwałtowném uderzeniem powozu wyrzucony z kozła, wpadł w wodę, utonął, i mimo największe natychmiast czynione poszukiwania, znalezionym nie był. Szczególniéj zaś prosił znajomego sobie dobrze pana naczelnika powiatu, aby w śledzeniu owych nieocenionych koni ścisłe zarządzić kazał poszukiwania. Wydawszy te dyspozycye, wrócił smutny i zamyślony do pokoju z ciężkiém przeczuciem, że ten wypadek jest dopiéro początkiem, od którego zacznie się pasmo przykrych zdarzeń, które miały dom jego dotknąć.

Przybyły z powiatu urzędnik nic nowego nie odkrył. O ludziach żadnego nie znaleziono śladu. Przejeżdżający wieśniacy z drugiéj wsi, wówczas gdy konie unosiły powóz po zagonach, zeznali, że rzeczywiście widzieli rozpędzony kocz i dwóch ludzi na koźle; że jeden z nich nachylił się z kozła mocno, spadł pod konie i pod koła. Ale czy roztratowanym został czy nie, o tém wieśniacy nic nie umieli powiedzieć, gdyż to był powóz pański, a zatém nie czuli się w obowiązku niesienia mu pomocy, i pojechali sobie daléj poświstując. Panna Salomea, przytomna temu zeznaniu, zarumieniła się cokolwiek, chociaż wieśniacy w rezonowaniu swojém na mocnéj opiérali się zasadzie. Ponowione przy urzędniku poszukiwania w stawie nie odkryły także trupa drugiego człowieka, którego właśnie gdy wpadał do wody, widzieli ludzie przy młynie stojący, i którego kapelusz z szeroką taśmą czarną, oznaczoną czarną stalową cyfrą W. B. złapali. O koniach słuch i ślad zupełnie przepadł.

Ponieważ chory z polecenia lekarza nie mógł być zapytywanym, gdyż gorączka nie ustawała, i ciężki ból głowy dręczył go gwałtownie, widział się przeto zmuszonym urzędnik kazać otworzyć jego walizę i szkatułkę z papierami, przy uproszonych do tego świadkach. Pieniądze w wielkiéj liczbie oddane zostały za rewersem gospodarzowi domu do schowania, w papiérach zaś oprócz rozmaitych notat, wyciągów z różnych dzieł, o których ani nasz gospodarz ani pan urzędnik nigdy nie słyszeli, a których ojciec nie chciał pokazać córce; oprócz kilkunastu książek, po większéj części Angielskich, nic nie znaleziono. Paszport był wydany w Wiedniu d. 1. Maja 1846 r. p. Władysławowi B*, obywatelowi cyrkułu Tarnowskiego, do Królestwa i do Rossyi, wizowany przez posła Rossyjskiego, rezydującego w Austryi, a podpisywany z największą akuratnością na wszystkich urzędach celnych i na granicy naszéj. Nie miał więc pan urzędnik nic do nadmienienia, ale opieczętowawszy papiéry i paszport swoją pieczęcią, oddał gospodarzowi do schowania, prosząc, aby dał znać panu naczelnikowi powiatu, gdy stan chorego poprawi się tak, że można będzie z nim samym się rozmówić.

— Idzie szczególniéj, rzekł wyjeżdżając, o tego drugiego człowieka, który nie wiedzieć gdzie się podział na czystém polu; co jest rzeczą cokolwiek nienaturalną.

— I o te konie panie urzędniku, dodał gospodarz; wolałbym, żeby mi moich dziesięć skradziono.

Po téj wizycie, zwyczajny bieg rzeczy wrócił do domu pana majora S*. Chory miał się coraz lepiéj; lekarz przyjeżdżał akuratnie i coraz bardziéj pocieszających udzielał zapewnień. Pani S* z całą troskliwością dobréj gospodyni czuwała nad wypełnieniem wszystkich jego przepisów. Pan Władysław chociaż nie wiedział jeszcze gdzie się znajduje, chociaż nie mógł wiele mówić, kilku słowami pełnemi znaczenia i ściśnieniem ręki dziękował zacnéj kobiécie za jéj czułość i starania. W ciągu tego czasu, sen okropny, który tak udręczył pannę Salomeę piérwszéj nocy po owym wypadku, powtórzył się raz jeszcze. Porwała się przelękniona i odziawszy się naprędce, poszła do tego pokoju, który poprzedzał pokój młodzieńca. Siedziała tam klucznica posadzona dla straży przez panią S*, i chrapał służący dodany do usługi. Panna Salomea uprosiła starą Urszulę, żeby weszła do pokoju chorego i zobaczyła czy śpi, i czy mu nie gorzéj. Uczyniła staruszka zadość prośbie panienki, otworzyła drzwi i poszła na palcach. Panna Salomea stanęła przy drzwiach cokolwiek rozwartych, i z bijącém sercem, z półotwartemi ustami i wytężo-

nym wzrokiem patrzyła na młodzieńca, który całą jéj myśl zapełnił, całą duszę ogarnął i opanował.

Łóżko jego stało naprzeciw pod ścianą, a lampa z prawéj strony na kominku płonąca, lekkie światło rzucała na twarz jego bladą i oczy zamknięte. Przystąpiła Urszula do łóżka; a choć krok jéj był lekki, chory jednak obudził się natychmiast. Ale nie spojrzał na starą kobiétę, zbliżającą się do łóżka. Oczy jego zwróciły się prosto ku drzwiom i tamże wyciągnęły się ręce. Postrzegła panna Salomea ten sam blask w jego wejrzeniu, który ją uderzył i na wskróś przeniknął wówczas, gdy go piérwszy raz przelatującego przed jéj oknami ujrzała. Przestraszona, cofnęła się od drzwi, i usiadła drząc na krześle klucznicy. Wkrótce wyszła Urszula z pokoju, uspokoiła ją, że chory ma się lepiéj, i że spał smacznie. Panna Salomea całą mocą swéj woli pokonawszy swe trwogi, udała spokojność i wróciła do siebie, ale zaledwie się położyła, łzy obfitym strumieniem puściły się z jéj oczu; pochwyciło ją potém spazmatyczne szlochanie, które biédna tłumiła w sobie jak mogła, okrywszy się z głową, aby nie zbudzić i nie zatrwożyć matki śpiącéj w przyległym pokoju.

Tymczasem w sąsiedztwie rozeszła się pogłoska o tém zdarzeniu, i przechodząc z języka na język, urosła w najpotworniejszą bania-lukę. Jeden z młodych utrzymywał, że pan B* przyjechał z Prus i że to jest ksiądz nowego kościoła; że reputacya panny Salomei jako filozofki, przyjaciółki światła i panny postępowéj, doszła i tam, i że dla tego właśnie chciał ją pociągnąć do téj missyi, aby jako kobiéta piękna i mowna była organem nowych wyobrażeń w naszéj okolicy. Upewniał słowem honoru, że wié o tém z pewnością; wątpiących zaś o powołaniu nowo-sacerdotalnem pana Władysława B* przekonywał tém, że pan B* przyjechał karemi końmi, w czarnéj uprzęży, w takimże koczu; że na kapeluszu człowieka była takaż taśma z czarną cyfrą, i że sam był czarno ubrany i miał czarne włosy. W innym znowu domu, młody jakiś panicz, z zaczesaną na tył czupryną, szeptał zebranym w kółko sąsiadom o innym wcale posłannictwie pana Władysława; twierdził on, że pan B* zupełnie nie tak się nazywa jak w paszporcie napisano; że on, narrator, wraca także z zagranicy i wié o tém wszystkiém doskonale. Rozpędziwszy się w sekretném zwierzaniu się swojém, dodał, że pan B* temi samemi karemi końmi powrócił nie dawno z Nowego Yorku, dokąd miał tajemną missyą. Gdy obecni parsknęli od śmiéchu, zapyrzony młodzieniec upewniał słowem honoru, że widział to na własne oczy w Marsylii, jak pan B* z okrętu na brzeg wysiadłszy, tymże samym powozem, który tam już na niego czekał, pojechał daléj. Panny w okolicy nie mogły się uspokoić, i kazały sobie opowiadać o cudownie pięknym młodzieńcu, który tak nadzwyczajném zdarzeniem zjawił się w domu majora, i z panną Salomeą pewnie się ożeni. Rozpytywały najtroskliwiéj, czy on hrabia, czy nie, a romantyczne jego zemdlenie i zniknienie ludzi, tłumaczyły sobie każda po swojemu. Ta utrzymywała, że wpadł tak raptem na dziedziniec, aby zafrasować; tamta mówiła, że schował ludzi, aby zaintrygować; inna znowu twierdziła, że rozbił sobie umyślnie głowę o schody kaplicy, aby się stać bardziéj interesującym, aby go panna Salomea pilnowała i pielęgnując chorego, zakochała się w zdrowym. Starsi znowu sąsiedzi nie mogli pojąć tak nagłego zniknienia owych prześlicznych koni. Ten dowodził, że to niepodobna, aby złodziéj wkradł się do tak porządnego i militarnie trzymanego domu; drugi rzucił uwagę, że złodziéj musiał miéć kocie oczy, kiedy pociemku właśnie najpiękniejszą parę wyprowadził; inny znowu napomknął, jakto musi niezmiernie boléć majora, który jest takim znawcą i amatorem; inny nareszcie zakonkludował, że się konie pewnie znajdą, jak skoro pan B* wyjedzie; potém niby od niechcenia zaczął mówić o pięknéj i ustronnéj pasiece majora, do któréj przystęp wszystkim obcym jest zabroniony, a na ustach słuchających pokazał się domyślny uśmiéch, pełen miłości bliźniego i przychylności sąsiedzkiéj. Słowem, cała okolica była w ruchu i wszystkie języki w robocie. Przejeżdżano się z jednego domu do drugiego, a wszędzie rozmowa toczyła się tylko o majorze, o pannie Salomei, o czarnéj cyfrze na czarnéj taśmie, o karych koniach, o zaręczynach i rychłym ślubie; od ślubu przyszło naturalną koleją do balu, a od balu jeszcze naturalniejszą do wypisywania materyj na nowe suknie i do składek na generalny transport z Warszawy trzewików i białych rękawiczek. Wszakże to silne zajęcie nie przeszkadzało zwyczajnym odwiedzinom w domu majora; dokąd, oprócz znanéj gościnności, obfitego uczęstowania, wdzięków panny Salomei, ściągała jeszcze sąsiedztwo ciekawość, chęć poznania interesującego młodzieńca, a może tajemna nadzieja krążąca w głowie nie jednéj matki, i szepcząca cicho w serduszku nie jednéj panienki, czy też nie uda się odciągnąć go od kochanéj sąsiadki — do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Zegarmistrzostwo Polskie w Genewie.

Miło jest oddawać hołd zasłudze, w jakimkolwiek to względzie, a tém miléj gdy chodzi o Rodaków. Z przyjemnością więc wspomnieć przychodzi o ziomkach naszych, którzy chwalebną pracą, staraniem i wytrwałością, przyprowadzili zegarmistrzostwo do stopnia doskonałości, dotąd nie znanéj u nas, a których *domy* równają się ze sławnemi nawet zakładami Europejskiemi! —

Rękodzielnia naprzód Patka i Czapka w Genewie, przez lat kilka istniejąca, rozdzieloną została od lat parę na dwa domy: Patka i Spółki, i Czapka i Spółki, które wciąż odznaczają się ślicznémi wyrobami.

W roku zeszłym dom Patka i Spółki wykończył cudnéj piękności zegarek złoty z płaskorzeźbami, z *bussolą* na guziku, za którego poruszeniem dzwonią godziny. Zegarek ten w darze złożonym został Lordowi Dudley Stuart przez Polaków, jako opiekunowi nieszczęśliwych wychodzców. Przyłączony tu rysunek okaże najlepiéj wytworność téj sztuki. (*)

Dom zaś Czapka i Spółki utworzył innego rodzaju arcydzieło, — *arcydzieło mikroskopiczne*, jak je nazwał jeden dziennik Francuski. Utwór ten jest godnym bajecznych czarodziejek ręki. Nigdy nic zgrabniejszego nie wykonano, gdyż to pieścidełko ma zaledwie 5 linij w przecięciu, — to jest: średnica zewnętrzna oprawy (boite) jest długość jednego *centimetre*.

Już dawniéj wprawdzie widziano zegareczki w naręcznikach, w pierścieniach i t. p. — lecz jakkolwiek zdawał się mały *cyferblat*, większy *ruch wewnętrzny* był w nich ukrywanym. Tu zaś przeciwnie cały zegarek jest tak mały, jak go rysunek przyłączony wyobraża. Pomimo téj nadzwyczajnéj drobności, idzie jednak doskonale, ma ruch, kółka, skazówki, jakby największy. Ileżto trzeba było czasu, zgrabnéj ręki, cierpliwości, wytrwania, aby to dzieło wykończyć. Chluba więc temu, który się nie dał zwyciężyć trudnościom, i który powodowany uczuciem, wiodącém do wszystkiego dobrego — to jest chęcią dojścia do doskonałości, wypracował to cudo!...

Syn męża, którego imię zawsze będzie w poszanowaniu u nas, dla cnót obywatelskich, Pan Roger Raczyński, syn Edwarda, nabył ów zegareczek. Bodajby bogacze w kraju naszym, na podobne cele używali dostatków! bodajby im miłe było to co krajowe, lub co przez Rodaków wykonane; bodajby obracali dary Opatrzności na poparcie sztuk pięknych, na użyteczne wynalazki, na rozkrzewienie uczciwych prac. Wtedybyśmy widzieli więcéj u nas przemyślnych ludzi, gdyż tym najczęściéj zachęty i pomocy brakuje. Ustałyby w jednych uprzedzenia i zawiści, a w drugich próżność, marnotrawstwo i przepych niedorzeczny!.....

W domach tych dwóch Polskich można nabyć, od prostych srebrnych, doskonale chodzących, do najkosztowniejszych i najpiękniejszych zegarków. Najnowsze przedstawiają wizerunek Matki Boskiéj Częstochowskiéj, Papieża Piusa IX., Posągi: Arcybiskupa Dunina, Królów Mieczysława i Bolesława, wizerunki wsławionych Polaków i t. p. ...

Inne są malowane na emalii, inne znowu wysadzane brylantami, perłami, drogiemi kamieniami, inne nakręcające się bez pomocy kluczyka, i t. d., i t. d.

To, co tu podaję, niech będzie dopełnieniem tego, com o zegarkach w ogólności, a w szczególności o zakładzie PP. Patek i Czapek powiedziała, w dziele: *Dwór wiejski*.

Genewa, 1847.

K. z P. N...

(*) Był umieszczony w przeszłym numerze.

Przyp. Red.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)